

Wychodzą we Wto-  
rek, Czwartek i Sobotę.  
We Lwowie prenumerata  
roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartałna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k.  
W kraju z przesyłką pocztową  
rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartałnie 2 Złr. m. k.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

## GWIAZDA.

### Epizod z życia wygnańca.

(Ciąg dalszy.)

Wyleciałem szybko na okop, i ujrzałem — porucznika rossyjskiego, który z pomocą kilku artylerzystów szykował świeżo ulane kule w stopy piramidalne.

— Jeżeli się nie mylę — zagadnąłem go, pan jesteś z nad Wisły?

— Bynajmniej — odrzekł zimno porucznik, jestem z głębokiej Rossyi.

— Ale język, którym pan mówisz...

— Nauczyłem się go.

— Pieśń, którą pan nuciłeś...

— Nauczyła mnie kochanka, którą poznałem w Warszawie.

— Więc Rosssyanie, daruj mi pan, *poznawają* swoje kochanki? Przywodzi mi to na myśl naukę Platona, jakoby duchy kochających, już w sferycznych przestworach miały z sobą uczciwą znajomość!...

— Gdybym nie widział w panu profesora fizyki lub historii naturalnej — odparł oficer, wskazując na tablice Okena — myślałbym, że jesteś słownikarzem.

— Ani jednym, ani drugim, mój panie!

— Mogę się zapytać, z kim mam honor mówienia, bo kto ja jestem, to widzisz.

— Jesteś pan łaskaw — zostawiasz mi wybór odpowiedzieć lub milczeć... Przejeżdżam tędy w interesach familijnych... Kilka dni lub tygodni pobytu w tych mało zajmujących murach, uczyniły ze mnie botanika; lecz jeżeli to dłużej potrwa, zostanę trapiistą. Jest coś w tej atmosferze...

— Mówisz jak zakochany! dalibóg!

— Może być; wszak wiesz, że Polacy są nader skłonni do romantyczności; tą razą jednak omyliłeś się — do dałem z śmiechem.

— A więc zgoda między nami! Lubię pana ziomek, a właśnie przychodzisz mi, jakby zawołany. Mam jedną ciężkość na sercu, czy raczej lekkość w usposobieniu, który to epizod w towarzystwie odbyć możemy.

Ot, na przykład, masz jakieś interesa partykularne. Moje interesa widzisz. Ale obok tych wszystkich naszych interesów partykularnych, mamy interesa ogólnoludzkie; a jeżeli pierwsze nie wypędzą cię tak prędko z tego maga-

zynu kul i granatów, to się lepiej poznamy. Bo mówiąc prawdę, kto wie, czyli ta kula, która się tam z góry stoczyła, za kilka tygodni nie przetoczy się po mnie!...

— Dziękuję za zaufanie...

— Cóż mówisz o zaufaniu? Może rozumiesz pod temi interesami ogólnie-ludzkimi jakąś ideę nowej, skrzywionej cywilizacji zachodu, której wy wszyscy tu holdujecie? Bynajmniej, my nie wierzymy w takie mrzonki...

— Ale poruczniku nie zrozumiałeś mnie!

— Oh! mowy twoich ziomek są tak stereotypowe! Zawsze jakaś *arriere-pensée* że wcale nie potrzeba końca wysłuchać.

— Ależ bo...

— Interesa ogólnie-ludzkie, obejmujące całą ludzkość, z końca do końca, jest to: lube dziewczę z czarnemi oczami, butelka wymienitego wina, czasami mała awanturka i basta!

— Poruczniku, cieszy mnie twoja spowiedź polityczna; tymczasem język, którym mówisz, będzie dla mnie dostatecznym powodem, służenia ci w interesach *uniwersalno-ludzkich*.

— Dziękuję, dziękuję ci, wypal cygaro, a ja tymczasem uszykuję te bomby i granaty, bo dzisiejszy pociąg je zabierze. Później zaprowadzę cię na wisznie do lubej, pięknej dziewczynki. Takich oczu, takich ust nie widziałeś w życiu! Czy mówisz po niemiecku?

— Mówię.

— Więc dobrze, będziesz tłumaczem moim. O co za luba!

— Widzę, żeś prawdziwy Rosssyanin. Pierwsza, lepsza owocarka wprawia was w zachwyt.

— O dla was do zachwytu potrzeba, aby dziewczyna gadała z kiepska po francusku, aby pletła coś o Balzaku, o George Sand i t. p. aby neliłościwie rozdierała uszy rozstrojonym klawikortem, a przy każdym komplemente uczyniła dyg zgrabny!...

— Wszystkiego tego pojedynczo nie wymaga się, mój panie, ale przyznasz mi, że się wymaga *wykształcenia* pewnego, lecz którego najpiękniejsza kobieta nie jest niczem innym, jak pięknem cackiem. Można się na nią patrzeć, a nawet podziwiać, ale do serca nie przemówi.

— Ponieważ wdałeś się już w tak profesorski wykład a zdajesz mi się być człowiekiem myślącym, więc ci w krótkości coś opowiem: Stałem pięć lat w Warszawie, to

jest pięć lat *epoletowych*. Znasz niezawodnie, co to dla kobiety mundur i epolety, jeżeli do tego ten, co je nosi, jest chłopczyk przystojny. Nie ma fortecy dla takiego nieprzyjaciela. Kochałem i byłem kochany od ukształconych, i nieukształconych, salonów i ulicy; a sumując przy odjeździe ich liczbę, nieprzesadzę, jeżeli ci powiem, że sięgała liczby świętych dziewię egipskich! Miłość moja i uczucie był to posterunek wojskowy, który oczywiście w sposób najakuratniejszy, zmieniać się musiał. Byłato nasza służba drugiego rzędu. Tu fatalna, jak mówisz, atmosfera inaczej jakoś nam okazuje przedmioty. Przed tygodniem kupowałem od wiejskiej dziewczyny wisznie; mówię ci, słowo honoru, że mnie oczarowała. A przecież nie jest ładna. Żółta, niby zwiędła, a jednak jest coś w tem ciele, co przyciąga, co zachwyca. Wielka szkoda, że z nią mówić nie mogę, bo dotąd mnie się boi.

— Ach, tyle romantyki obok tych stosów piramidalnych na prawdę nie spodziewałem się znaleźć!

— Żartuj sobie z północnego barbarzyńcy, jak nas zachód nazywa, a ja ci mówię, że barbarzyńcy mają serca, które są dostępne wrażeniom tam, gdzie wy nic nie widzicie; bo nie widzicie szychu i blichtru, nie widzicie jedwabiu i zbrukanej fantazyi.

— Zastanów się poruczniku, wszak nie masz przed sobą wroga — przerwałem mu z serdecznym śmiechem, bo postawa mówiącego rozśmieszyła mnie tragicznością swoją bez potrzebnych ku temu akcesoryj.

Rossyanin również to uczuł, a przechodząc z *maestoso* do *allegretto* zawołał:

— Śmieję się, póki jej sam nie obaczysz!

— Cóż to za dziewczyna?

— Dziewczyna?...

Jak z puchu wywiana cała,

Usta to morskie korale,

A pierś jej drżała — tak drżała,

Jak jeziora senne fale!...

— Jesteś poetą!

— Myślałem niegdyś, że nim jestem...

Wtem najwyższa warstwa granatów stoczyła się z łoskotem na dół. Rossyanin błysnął gniewnie okiem.

— Zły to znak — wyrzekł, już po raz dziesiąty!

— Przypadek, nierówność ziemi...

— O nie, nie! Albo wkrótce odejdę do Węgier, a tam... Albo moja afera z dziewczynką o czarnych oczach źle się zakończy. Pójdź, pójdź; przyspieszmy tę ostatnią katastrofę, a gdy dzisiaj dostanę całuska, to będę wiedział że za kilka dni mam zginać! *L'un au l'autre!*

Inną razą rozśmiałybym się z opowiadania porucznika, a sprawa jego zakończyłaby się butelką wina; lecz usposobienie moje, z jakim się na świat zapatrywałem, było przyczyną, że ten prosty wypadek rozbudził moją ciekawość.

Powziąłem wprawdzie jakieś dziwaczne uprzedzenie o żółtej i zwiędłej dziewczynie, szedłem jednak z pewną apatyą, aby ujrzeć scenę, która w stosunku do mego zdarzenia mogła być istną parodią. Nawet gniewało mię to, a pozbywając się myśli nie miłych, puściłem wodze mojej wyobraźni.

Przebywszy tak zwaną *galerie majeure* zeszliśmy do pierwszej fosy, i szliśmy w kierunku do tej ciemnej podziemnej furty, przez którą zwykłem być wychodzić.

— Widzisz tę dziewczynę? Otóż ona! — przerwał milczenie porucznik.

Ja już wówczas myślałem Bóg wie o czem, tylko nie o dziewczynie. Jakiś niesmak opanował mię, żalowałem w duszy, że zabrałem tak nieużyteczną dla mnie znajomość. Szedłem prawie z oporem, bo tego wymagała grzeczność i przyzwoitość. Nigdy więc romantyczność nie miała zjadliwszego i zimniejszego krytyka, jak naówczas we mnie.

— Nie widzisz dziewczyny? — powtórzył porucznik.

— Widzę, widzę — odparłem, patrząc w ziemię.

— Patrz jak tęczone skrzydło amorka, otacza ją obłok majowy!

To już przechodziło wszelkie reguły romantyki; musialem spojrzeć.

Na wysoku pierwszego muru fortecy, który przypierał do dziedzińca nowej, olbrzymiej kasarni, ujrzałem w oddaleniu postać kobiecą, której ruchy rysowały się na jasnym tle letniego nieba. Spojrzałem z uprzedzeniem, z ironią; lecz perspektywa, jakaś dziwna zieloność trawy, i przejrzystość lekkiej, różowej mgły na tle nieba, nadały tej postaci dziwne, magiczne światło. Po długim czasie uczulem teraz mocniejsze serca uderzenie, i zdało mi się że promień życia wypłynął z omdlałej duszy mojej. Ale byłoto tylko krótkie, optyczne złudzenie. Kilka kroków dalej, a urok rozchwiał się. Ujrzałem zwykły koszyk z wiszniami i zwykłą wiejską dziewczynę.

— Cóż ty na to? — zapytał się porucznik, gdyśmy już byli blisko.

— Widzę dziewczynę — rzekłem obojętnie, która sprzedaje wisznie.

— I nie więcej?

— Widzę dwóch żołnierzy, którzy kupują...

— Co mi po nich... do st...ale na dziewczynę się popatrz!

O gdybym ja był pasterzem,

Najpiękniejszy kwiatek z łąki,

Niosłbym jej w dziennej ofercie,

Śpiewałbym jak te skowronki...

— Kiepskie rymy, poruczniku! — zawołałem ze śmiechem przy tej komiczno-tkliwej roli mego towarzysza, a wchodząc w jego usposobienie, zacząłem:

Gdy Luma w Febowej krainie,

Zaświeci srebrnym wieczorem,

Daphna cię czeka w dolinie,

Pod umówionym jaworem!...

— Brawo — krzyknął porucznik, widzę, i z ciebie romantyk nielada. Tyko daj sobie powiedzieć, że tchnieisz klasycyzmem.

— Właśnie ten zarzut trafia ciebie, mój poruczniku; bo któż z dzisiejszej szkoły wyprowadza pasterkę idyliczną jako bohaterkę serca?

Lecz Rosyanin niedosłuchał słów moich. Pospieszył ku dziewczynie, która ku nam zwróciła swe duże, czarne oczy, mając nas za istnych waryatów. Zdziwienie jej doszło do najwyższego stopnia, gdy, jakby dla podniesienia romantyczności, dobyłem ołówka i papieru i zacząłem tę scenę karykować. Porucznik z atrybutem pasterza pasie trzodę bomb i granatów, a umizga się idylicznie do markietanki. Dla odrysowania tej ostatniej przystąpiłem bliżej.

Tymczasem zmieniła się scena.

Dziewczyna, patrząc wkoło siebie wzrokiem zadziwienia, zasłoniła nagle twarz ręką, a dwa duże strumienie łez spłynęły po jej licach. W dziwnym współczuciu dla biednej podarłem rysunek i przyskoczyłem ku niej, sądząc, że porucznik był tego powodem.

— Poruczniku — zawołałem z oburzeniem, zapewne dopełniasz liczby świętych dziewic egipskich, abyś mógł umieścić w raporcie wyprawę...

— Przyjacielu — odrzekł dumnie Rosyanin, nie wiem kto jesteś, lecz pomnij, że noszę szablę i szlify.

— To cię bynajmniej nieupoważnia, ubliżać biednej dziewczynie, która dla lichego zarobku musi przyjmować twoje grubiaństwo.

Artylerzysta splotił się od gniewu.

Tymczasem pojęła dziewczyna, o co tu chodzi. Szybko otarła oczy, stanęła między nami w błagającej postawie i rzekła z niemiecka:

— Panowie, jestem prostą, wiejską dziewczyną i nierozumiem co między sobą mówicie; ale domyślam się, że może jestem przyczyną waszego poróżnienia się.

— Któż ci co złego uczynił, żeś płakała? — zapytałem się.

Rosyanin stał nieruchomy, wlepiwszy w dziewczynę iskrzące oczy.

— O, nikt! nikt — odpowiedziała dziewczyna, ja płakałam, bo mi się na płacz zebrało: Jestem nieszczęśliwa...

Podarłem rękę porucznikowi, prosząc go o przebaczenie za moję źle zaaplikowaną rycerskość. Nie żądając wyjaśnienia, ścisnął mię za rękę. Widziałem, że uczucie dziewczyny demonicznie na niego działało. Odgadł, czego nie rozumiał.

Uderzyło i mnie coś w tej dziewczynie. Głos jej osobliwie, który w skutek nieśmiałości i zmieszania się jej, zdawał się być nienaturalny, uczynił na mnie dziwne wrażenie.

(D. c. n.)

## ZAPOROZEC.

Kto rodził, kto chrzeił mię, gdzie mych ojców dom?  
Step wolny, krew wrogów, fal i stepów szum,  
Gdy piorun i burza, huczy, pali, dymi,  
Ja czuję w krwi, w ręku, żem pokreway z nimi.

Kto ze mną potańczy, kto mi zajrzy w brew,  
Gdy jasnym piorunem z pod niej błysnie gniew?  
I tuli się dziewczę jak pierzchliwe ptaszę,  
Gdy do niej przyskoczę, zmiłę się, przyłuszę.

Gdzie moje dziedzictwa i zdobycze mam?  
Patrz w świat ten szeroki i kijowski chram!  
Na pierścień, korale i na lisie szuby,  
I w oczy gwiazdeczki czarnobrewki lubej.

Przepiję, przebulam, podaruję rad,  
Zostanie mi spisa i mój wrony brat,  
My dwaj się nie zurzym, plon zdobędziem nowy,  
Archaniol powiedzie, kędy? wie koszowy!

Nikt w księgi nie pisze u nas wielki czyn!  
Gdy chce się dowiedzieć o nim Siczy syn,  
To leci lub płynie w cztery świata końce.  
Od bram Trebizondy, aż gdzie marznie słońce.

Nie umrę na puchach sam śród gnuśnych męk,  
Mnie duszę unosi grzmot i wrogów jęk,  
U wielkiej mogiły strzeże strach me ciała,  
Kón zarzy nademną, duma wspomni z chwałą.

Hej duchy! wieść miłą niesie czarny ptak,  
I kurzu obłokiem wionie ku nam szlak,  
Król kazał, hej duchy w imie boże hura!  
Archaniol roztoczył górą srebrne pióra!

P. K.

## Improwizacja.

Choćbym gdzie nawet w krajinie dalekiej,  
Mał w wnętrzu ziemi zakuty na wieki:  
A mógł choć chwilkę patrzeć w Twoje oczy,  
Słyszeć choć z dala dźwięk słów twych uroczy,  
Gdyby się kiedy choć we śnie twe dłonie,  
Tknęły o moje zakrwawione skronie!  
Jabym zapomniał że na czynów dobie,  
Młody i silny mrę za życia w grobie,  
Jabym zapomniał, że jest gdzieś kraina,  
Gdzie ojciec, siostra ze łzą mię wspomina!  
Spiewałbym Twojem echem z aniołami,  
Bujał spojrzaniem Twojem niebiosami,  
Za to więzienie dziękowałbym katu,  
Szczerzej niż bogu za pierwszy tron świata.

P. K.

## Najnowsze dzieła.

### ZNAKOMICI MĘŻOWIE POLSCY.

w 18tym wieku,

Wyszło niedawno w Petersburgu dzieło pana Juliana Bartoszewicza pod tytułem: Znakomici Mężowie Polscy w XVIII. wieku, tom pierwszy. Julian Bartoszewicz znany jest

już nam dobrze, z swych prac historycznych którym mimo wieku jeszcze młodego oddaje się z niepospolitem zamiłowaniem, wytrwałością, a co najwięcej z prawdziwą znajomością swego przedmiotu, i tą chłodną krytyką rozumową, która jest najpotrzebniejsza w śledzeniach historycznych, a której już nieraz znakomite dał dowody w swych rozbiorach rozmaitych mrzonek historycznych. Nadzwyczajnie pracowity w swym zawodzie niejednym artykułem ciekawym wzbogacił on bibliotekę warszawską, a tego roku objął po Henryku Rzewuskim redakcję Dziennika Warszawskiego, który, szczerze wyznać trzeba, skorzystał niemało na tej przemianie. To o którym mówimy dzieło pana Bartoszewicza, można by porównać do opiłek jakie padają przy obrabianiu jakiego przedmiotu. A im kosztowniejszy kruszec wpadnie pod rękę mistrza, tem większej wartości są i opiłki jakie mu z pod ręki padają. Pracując w zawodzie historycznym, przerzucając wszystkie do naszych dziejów odnoszące się źródła, rzucił pan Bartoszewicz w świat tych kilka zarysów historycznych, które jakkolwiek oderwane, mają swoją wartość znamienitą, i z przedmiotu i z obrobienia pochodzącą. Życiorysy te wyjęte z najrozmaitszych źródeł, bo i z ksiąg i z pamiętników i z coraz więcej zamierających u nas tradycy, obrobione bez dawniejszego żywotom sławnych ludzi właściwego pedantyzmu, ale przeciwnie ujęte żywo, i z pewną artystyczną żywotnością, której tak bardzo brakuje niektórym naszym arcyuczonym badaczom, stojącym długie lata nieruchomie na jednym punkcie jakby ludzie zapadli w bagno po uszy; życiorysy te są ciekawe dla samej ich treści, a co najwięcej stanowić będą, jeżeli je autor późniejszymi dokompletuje tomami, ważny i pożyteczny zbiór nie tylko dla historyków w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale i dla powieściarzy, którzy u nas coraz historyczniejszemi się stają. Nie jeden z nich, znajdzie może w tym zbiorze nową jaką postać historyczną, która go uderzy jeżeli ma na prawdę ducha artystycznego, i zastąpi nią zużyte już postacie historyczne, jakimi wojują ciągle i zawsze nasi powieściarze historyczni, używając je i nadużywając za broń w swych zaczepkach, za tarczę w swych obronach stroniczych. Przyszło nam to na myśl, mianowicie po przeczytaniu jednego z najlepiej udatych zarysów tego zbioru p. Bartoszewicza. Jest to rys życia *księcia Karola de Nassau*. I za prawdę jest to figura nadzwyczaj ciekawa, awanturnicza, pełna excentryczności jakie tylko bogata wyobraźnia stworzyć by potrafiła, a excentryczności prawdziwych, bo wodzących go z Afryki do Rosyji, z Hiszpanii do Holandyi, po bitwach z ludźmi i tygrysami, z dłużnikami i dyplomatami, na lądzie i na morzu. Aż na końcu osiada w Polsce, żeni się z polką, i zostaje obywatelem polskim, pokochawszy szczerze tę przybraną ojczyznę nową. Rzecz prawdziwie zastanowienia godna dla czego dotąd żadnego z powieściarzy naszych, nie uderzyła arty-

styczność już gotowa, nie wymyślona, nie naciągnięta tej figury. A przecież jest historyczna, jest nawet arystokratyczna, i właśnie żyje w tej epoce, którą tak szczególnie polubili obrabiać, przerabiać i wyrabiać nasi powieściarze historycy. Czyli to przez patriotyzm (bo Nassau nie czysty polak) taką dali preferencyę drugiemu księciu Karolowi, drugiemu awanturnikowi, księciu Panie Kochanku? I tak go nareszcie kolosalnie bohaterując przerobili, że sumienny badacz historii prawdziwej nie pozna w księciu Radziwille Soplicy, Listopada i tylu innych co za panem Rzewuskim w ślady poszli trąbić w trzy trąby Radziwiłłowskie, nie poznaliby mówię, księcia Karola Radziwiłła, który ma w powieści swoje niezaprzeczone artystowstwo, aie w dziejach mimo talentu wszystkich obrabiaczy pozostanie figurą historycznie smutną, krzywą, nie przynoszącą chwały ani epoce w której żyła, ani rodzinie z której wyszła, ani narodowi do którego należała, ani ludziom którzy za życia byli poplecznikami jego osobistych — nie ambicyi, nie dążeń pewnych, nie wyższej dumy — ale pańskich widzimisiów — ani też tym, którzy go na gwałt w bohatera, w ideę, w bóstwo przerobić chcieli. I chcąc bóstwo, zrobili wreszcie pagodę. Jeżeli to patriotyzm? smutny to patriotyzm, bo nie na prawdzie, nie na pożytku ogólnym ugruntowany, ale na stroniczej zawziętości, która drze najprawdziwsze karty historyczne, by z nich robić ładunki do swoich pocisków. Co im to szkodzi, że Radziwiłł panie kochanku wróciwszy z Baru poszedł do Radomia. Bohater ón i kwita! Ostatni przedstawiciel!.. ale zaślepienia tych którzy nim wojując, do poparcia własnych osobistych, stroniczych zdań, chcieli zidealizować figurę, która mogła w ostatnich czasach służyć za ideał — ale osobistości zpotęgowanej zasadami oligarchicznymi, osobistości która w takim rodzaju bywa zawsze w dziejach klinem rozsadzającym społeczeństwo, używanym na to nieraz przez rozmaite własne i cudze młoty! Artystyczność figury księcia Nassau nikogo nie uderzyła, bo na to trzeba tylko było prawdziwym być artystą, by ocenić wartość przedmiotu, by pojąc jaki z niego da się zrobić użytek. By zaś porwać, i podnieść księcia panie kochanku, trzeba było być statystą potrzebującym sztandaru, dla przeprowadzenia swoich krzywych i krzywić mających zdań i zasad. A szkoda bo cudna czyli raczej cudne dały by się potworzyć powieści z rozmaitych epizodów życia księcia de Nassau. Prócz tego obrazu, jest jeszcze obszerniejszy i bardzo dobrze ułożony obraz życia księcia biskupa Naruszewicza z nowemi i ciekawemi szczegółami. Jest dalej życiorys Feliksa Łojka, o którym mało komu przyszło co więcej dotąd napisać, jak tylko same ogólneki za Bentkowskim i Stanisławem Potockim powtarzane. Obrazek ciekawy i o ile zdołał najkompletniej zebrany. Jest jeszcze w tym zbiorze Jerzy Ożarówski, oboźny koronny który był przyjacielem Stanisława Leszczyńskiego i jego posłem w

Paryżu. Jest nareszcie wiadomość starannie zebrana i dobrze napisana o gazecie księdza Łuskiny. Czytelnik, do dzisiejszych gazet przyzwyczajony, zadziwi się niepospolicie usłyszawszy o gazecie takiej, o gazecie i księdzu razem, a jeszcze Łuskinie. A przecie w swoim czasie ksiądz Łuski i jego gazeta narobiły niemało hałasu, i więcej może, niżeli którakolwiek z dzisiejszych prześcieradłowych gazet, której do końca nim dojdiesz, zapomnisz już początek. Po przeczytaniu tego tomu reasumując wrażenia nasze, powiemy w krótkości: czekamy z upragnieniem na dalsze tomy.

### Michała Grabowskiego list drugi o dzisiejszem powieściarstwie\*).

Powiedziałem, że ukazanie się *Zygmunta Kaczkowskiego* w naszej literaturze jest najważniejszym w niej wypadkiem, że bieżącą chwilę uświetnia i znamionuje;—zostaje mi twierdzenia mojego dowieść. Nie sądzę, żeby powszechne zdanie było ze mną sprzeczne; owszem, mógłbym się na nie śmiało powołać; upodobanie w nowym pisarzu, interes, który jego utwory budzą, niecierpliwe upragnienie każdego nowego utworu, tego, na szczęście płodnego pióra, wyraziły się przez fakta materialne, których niepodobna niedostrzedz. Zresztą dosyć dać ucho rozmowom potocznym, żeby się przekonać, jak jednostajne a gruntowne jest o autorze opowiadań *Nieczui* zdanie; nie tylko poznano natychmiast, z rozkoszą, że oto przybywa nam nowy malarz przeszłości, ale odróżniono go zaraz od tych, co mając ten sam cel, biorąc się do tych samych przedmiotów, zupełnie inny wymiar lub naturę talentu okazywali. Ten wyborny krytyczny sąd, dość pospolity masie naszej publiczności, a pospolitszy jeszcze jednostkom, które prawie nigdy z ogółu nie chcą wychodzić, dziwnym wydaje częstą nietrafność pisanej naszej krytyki. Otóż z tej to strefy spodziewam się oporu moim słowom, upatrzenie w nich stronności i przesady. Już mnie nawet dochodzą słuchy, że sąd mój o Zygmun-

cie Kaczkowskim nie wszystkim poszedł w posmak. Czuję więc potrzebę sposób mój widzenia rzeczy usprawiedliwić, a przynajmniej wyłożyć; ulegam jeszcze więcej chęci pomówić o tem, w czem silny żywioł życia i przyszłości naszej literatury upatruję, a co samo jedynie, zawsze moich krytycznych rozprawek było natchnieniem.

Nie przypuszczam jeszcze, żeby mój szacunek dla Zygmunta Kaczkowskiego, stworzył mu wątpiących i przeciwników. Dotąd w ogłaszanych piśmiennie zdaniach spotykały go same pochwały, nie zawsze dowodzące, że go poznano. Nie stosuje się to jednak do najobszerniejszego rozbioru opowiadań *Nieczui*, jaki drukował *Dziennik Warszawski* (w roku przeszłym), a który wybornym i sprawiedliwym nazwałem. Pan Julian Bartoszewicz, sądząc powieść naszą historyczną w miarę jej zgodności z wierzytelną historią, przyszedł do najsurowszego zdania o długo a przesadnie chwalonych powieściach autora Szwedów w Polsce, do najpochlebniejszego o powiastkach *Nieczui*. Ma on wielką zasługę za tę krytykę. Posunął o krok olbrzymi, wyraz powszechnego zdania, wywrotem dziecinnej i chorobliwej admiracji dzieł całkiem spaczzonego talentu; z wielką trafnością przeciwstawił mu trzeźwe i pełne prawdy obrazy *Nieczui*; z porównania tych dwojga okazało się jawnie, że utwory, gwałcące prawdę historyczną, nie mogą mieć nawet prawdy i uroku poezji. Wszelako to *critérium*, które dało tą razą tak sprawiedliwy wypadek, łatwo może być nadużyte. Pamiętamy jak zkądną zasłużony pan Maciejowski, niesłusznie ocenił Waltera Scotta. Prawda dziejowa, prawda artystyczna, są tak ogromne i wielowzględne pojęcia, że bardzo łatwo zapatrzyć się na jedną ich stronę wyłączną, a do danego przypadku niestosowną. Uniknął tego pan Bartoszewicz. Z probierzem historycznej wierności, odkrył prawie wszystko, co w obrazach przybyłego nam powieściopisarza, jest pełnego wartości, pełnego wdzięku i sumiennosci wątku. Zgadza się na wszystkie jego krytyczne zdania, pamiętając tylko, że doszedł do nich po nici dziejowego sprawdzania, pozwolimy sobie jego *critérium* jednym dodatkiem dopełnić, a jak nam się zdaje, od zбочeń którym to ulegać może, zaważać. Dzieło sztuki z osnowy dziejowej, nie wtedy osiąga najwyższy cel swój, kiedy prawdy historycznej nie szczyrbi, (co byłoby badzo bierną zasługą) ale kiedy prawdę historyczną, i w szczególe, którego dotyka i we wszystkich innych z tem zostających w związku, rozświetla, w nieznaney przedtem jasności i wydatności ustawia. W tej, że powiem, dodatniej czynności, zawiera się naturalnie i warunek wierności, ale jest on już w stósunku dokonanej sprawy podrzędnym, a zatem drobiazgowemi względami wikkłać i ćmić wielkiego pojęcia rzeczy nie może. Sztuka, która w ten sposób dopełnia swego przeznaczenia, ma w sferze, w którą wstąpiła, rolę osobną i godną; inaczej byłaby wrogiem historii, kiedy fakta jej krzywi, lub niepo-

\*) Podaliśmy dawniej list Michała Grabowskiego o terażniejszym ruchu literackim. Zdanie w nim objawione o Zygmuncie Kaczkowskim wywołało, osobliwie w Galicyi, opozycję dosyć zwawą. Czas krakowski wystąpił z obszernym rozbiorem powieści Kaczkowskiego, a dotknął w rzeczy samej tylko rzeczy podrzędnych, w których mu łatwiej było osiągnąć cel zamierzony: wyszukania słabszych stron *Murdeliona*. Co powie dalej *Dziennik literacki* niewiemy. Przed dwoma tygodniami umieszczony w tem piśmie wstęp do rozbioru *Murdeliona* uczący nas, co jest powieść, wygląda jakby *Murdelio* był pierwszą Powieścią, która się pojawiła w świecie a przynajmniej w Polsce. Tymczasem Michał Grabowski ogłosił w *Gaz. Codziennej* nowy artykuł, w którym obszerniej popiera swoje w poprzednim liście zanadto ogólnie rzucone zdanie. Umieściwszy list pierwszy, umieszczamy i drugi, a to tem ci chętniej, iż szanowny autor kreśli cały stan dzisiejszego powieściarstwa. Zapewne iż nie na wszystko zgodzilibyśmy się z autorem. Ale przyznać trzeba, iż wiele bardzo trafnych pomysłów rozsnuwa. W osobnym artykule powiemy nasze zdanie jak nam się ta kwestya, tocząca się tak żywo, z naszego przedstawia stanowiska. R.

trzebnym pasożytem, kiedy to tylko robi dobrego, że źle nie robi. Że sztuka oddawała takie, o jakich mówimy usługi historii, że na niepojmowane charaktery i wypadki niespodziewane przelewała światło?... łatwo na to znaleźć dowód w dziejach powszechniej literatury. Że u nas samych, i ledwie nie przed chwilą, zjawili się pisarze którzy grubą zasłonę z nad całego okresu i całej strefy obyczajowości krajowej zdjęli?... o tem żadnej wątpliwości nie ma; że pan Kaczkowski za temi przybywa, i ich tropem, ale dalej jeszcze od nich, w tych zdobyciach na przeszłości i niepamięci zaszedł? gdyby tego nasz rozbiór dowiódł, znaczenie pisarza tem samym byłoby określone, nasze dlań uwielbienie usprawiedliwione.

Podczas kiedy pogląd ze stanowiska li historycznego, na wartości *pamiętników Nieczui* się nie oszukał, pogląd literacki, pogląd właściwie krytyczny, okazuje się nierównie mniej śmiały, mniej pewny siebie. W pismach potocznych, mówiących o wszystkim, nie jest bez wzmianek o Kaczkowskim. Ale tam o *Diable*, o *Zaporożcu*, o *Murdelonie*, mówią jakby o jednym i tem samym. Owoc szczególniejszego uporu w niewłaściwym rodzaju, oplakany upadek najogromniejszego talentu, i arcydzieło, które wszystkie obietnice ziszcza i wszystkiego w przyszłości spodziewać się pozwala, niczem się między sobą nie różnią w oczach tych łatwych dyletantów.— Najpoważniejszy dziennik, organem najpoważniejszego swego krytyka, zaczyna rozbiór powiastek *Nieczui* tem: „że do liczby oryginalnych powieści polskich, przybyły w ostatnich latach powieści Zygmunta Kaczkowskiego,“ a kończy: „że są to słowem rzetelne już kwiatki (śród innych) w gałęzi naszej powieści.“ (Tyszyński w lutowym Nr. *Bib. War.*) Gazeta zaś do której my piszemy, oświadcza, że ten rozbiór jest serdeczny i doskonałej znajomości przedmiotu dowodzący. Wszystko to być może, wszelako czujemy, że w obec tego zaliczenia powieści *Nieczui* do rzędu oryginalnych, w obec tego nazwania ich kwiatkami śród innych, nasze uznanie w Kaczkowskim najzdolniejszego ze współczesnych pisarzy, przewodnika najnowszej w nowej literackiej chwili, musi uchodzić za wielką zuchwałość z której się naturalnie wytłumaczyć mamy obowiązek.

W literaturze polskiej jak we wszystkich innych współczesnych, najrozleglejszą z gałęzi jest powieść; w powieści rodzaj powieści historycznej, a właściwie podaniowo-historycznej, bierze przed innemi przodek, liczbą i znaczeniem pisarzy, i wydanych już przez nich utworów. Poprawiłem nazwisko czelnej powieści, z historycznej na podaniowo-historyczną, bo istotnie do tego ma jedynie prawo. Próby naszej historycznej powieści, wtedy kiedyśmy się za przykładem wszystkich literatów do tego wzięli, do niczego bardzo znakomitego nie doprowadziły; ale kiedy prawie przypadkowo i niespodziewanie tknięto u nas osnowy tradycyjnej, nietylko rozwarł się zaraz przed nami świat pełen

interesu i uroku, ale poznaliśmy, że przezeń wiodła nawet prostsza i bezpieczniejsza droga w strefy właściwej historii. Tymczasem sama ta kraina tradycyi, okazała się tem czem nikt się nie domyślał, ażeby była. O miedzę ledwie od naszych dni odległa, a przegrodzona od nas jakby ścianą dyamentową, przeszłość zupełna i skończona, z typem charakterów i wypadków, jakich dziś nigdzie słońce nie widzi, z rzeczywistością całkiem poetyczną, gdzie wszystko występuje w stylu wielkich wymiarów, gdzie wszystko nosi cechę oryginalności i artystycznego *grandioso*. W tym dziwnym świecie rozpatrujemy się nietylko za przewodem poetów, którzy go pierwsi odkryli, ale oto już drugie ich pokolenie następuje, i zawsze rozświeca ów pomrok pełen życia, przenika weń coraz głębiej, i jakieśmy już powie dzieli, w serce właściwej historii przetorować drogę odbicuje. Taki jest szczególnie zawód, który nasi tradycyjno-historyczni powieścio-pisarze przebiegają; w tem ich różnica od wszystkich współczesnych powieścio-pisarzy i poetów, w tym celowanie tej gałęzi naszej literatury przed wszystkiemi innemi i wielkie jej dla wszystkich (gdyby ją znali) wartość i interes.

Mówiliśmy gdzieindziej jakie były początki tradycyjnej naszej powieści; musimy to jednak powtórzyć, bo niemając przed sobą całości dziejów tej gałęzi, trudnoby nam było oznaczyć ostatnie jej postępy, a mianowicie oszacować czynność pisarza, który według nas o krok olbrzymią sprawę ogólną naprzód podźwignął.

Starodawna obyczajowość polska, wprzód jeszcze nim jej zewnętrzne wypadki położyły koniec, uległa dobrowolnemu wyparciu się przez własną społeczność. Sprawiała to przemoc ogólnej kosmo-politycznej cywilizacji Europejskiej, przemoc tak dalece wyższa nad wszelkie przeciwdziałanie, że upadek pod nią rzetelnie na niczyją winę i błąd nie spada. W literackim względzie, piśmiennictwo Stanisławowskie było organem zniechęcenia do rodowej przeszłości, utęsknienia do innej. Powinniśmy być do tyła bezstronni, żeby poplecznikom tej literatury przyznać niemałe talenty, najuczciwsze chęci, a wybaczyć, że byli ślepiemi narzędziami nieubłaganego fatum, które zaiste przeniosło daleko zakres ich dążeń i pojęcia. Tymczasem wypadek rzeczy był widoczny. Obyczajowość, która sięgała korzeniem do pierwszych wieków narodowego bytu, a panującą jeszcze była po koniec trzeciej części osmnastego wieku, w dwadzieścia pięć lat później, nie istniała zupełnie, nie istniała ani w rzeczywistości, ani w wyobrażeniu. Ci sami, którzy ją pamiętać musieli, pamiętali ją faktycznie, ale duch jej był dla nich tajemnicą, siedmiu pieczęciami utwierdzoną. Uplłynęła znowu trzecia część dziewiętnastego stulecia; ten peryod zapełniały ważne zdarzenia, dziwne przewroty, potężne wstrząśnienia umysłu powszechnego, ale wszystkie prawie razem, zarówno oddalały jeszcze od stref przeszłości, niczem z obecnością nie związanych. Nic nie

było mniej prawdopodobnego, jak żeby stan obyczajowy, odrzucony od współczesnych, zapomniany od potomnych, mógł się kiedy artystycznie wskrzesić, choćby doskonale wyjaśnić i wytłumaczyć. W pierwszym względzie stawał się on przedmiotem z dziedziny historii, którą widzieliśmy już jak galwanizacye historycznego romanso-pisarstwa nie skutecznie dręczą; w drugim był pastwą suchej erudycyi i zwyczajnych jej dowolnych wywodów. Ażeby powstał kiedykolwiek w uroku życia i powiedział: patrzcie! miłujcie! sądzicie, tego zapewne nikt nie przewidział. To się jednakże stało. Nikt nie zaprzeczy, że klucz do tej zamkniętej przeszłości, podał, (nigdy za to samo nie zawdzięczony dosyć) nieśmiertelny autor Listopada. Wprawdzie objawiały się pierwaj jeszcze wskazy, że wiek zawraca od skwapliwego niegdyś potępienia dawnej cywilizacyi, że w wywłaszczonej więcej widzi nieszczęścia jak winy, że upatruje wdzięk i zaletę, w tem, w czem poeci Stanisławowscy widzieli wady i śmieszność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

### Rozmaitość.

\* Wczoraj rano przybył do Lwowa Cesarzewicz Arcyksiążę Karol Ferdynand, c. k. feldmarszałek porucznik i właściciel 51. pułku piechoty. Jest to drugi syn sławnego bohatera s. p. Arcyksięcia Karola, a brat młodszy Arcyksięcia Albrechta, gubernatora cywilnego i wojskowego Węgier.

\* **Ze Złoczowskiego.**— Kiedy ze wszystkich stron odbierasz, aż do znudzenia monotonne relacye o nędzy teraz zagnieżdzonej, zapewne i odemnie podobnej obawiasz się, i widzisz już, jak sięgasz do pełnej miejskiej kieszeni, widzisz jak otwierasz kolumny swego dziennika dobrowolnym składkom.

Ale nie, niebój się redaktorze, nie będę nudzić innych obcą biedą, kiedy dziś każdy ma swojej czysto domowej aż do sytu!... Tem więcej że u nas na wsi nie ma już biedy. Co? zapytasz niewierny Tomasz! na wsi i nie ma biedy? a gdzież się podziała? gdzież to Eldorado? ten raj? te ogrody pięknej Brabancyi?

U nas w Złoczowskim, do usług waszych:

Była w prawdzie i u nas na wsi między ludem bieda, lecz ta, jak wszystko śmiertelne, poszła sobie biedową drogą, i to z dwojakiej przyczyny:

Raz że i bieda stosując się do mody, ma swój saison. Tem saisonem, w którym najpiękniej figuruje, jest zima. Z nadeszłą więc wiosną wyszła sobie bieda do lasu, i odtąd pasie się nakształt świętych pustelników, łobodą, korzonkami, a nawet kwaskiem, a jak na biedę dość to dobre pożywienie. Jak widzicie brzmi to dosyć poetycznie a nawet romansowo, szkoda tylko że ta bieda nieznalazła jeszcze jakiego tego biedy, bo mogliby się z czystej miłości, gdzie w lesie i przy strumyku pokochoać.

Druga przyczyna ustąpienia od nas biedy, jest: że na samą wieść o nadchodzącym balu, na którym mieliśmy ją urzędownie z tąd transportować, okropnie przestraszyła się, i dalejże w nogi fugas chrustas. Musicie bowiem wiedzieć, że jak skoro tylko dowiedzieliśmy się o jej zimowym saisonie, postanowiliśmy natychmiast biedę raz na zawsze radykalnie od nas wypędzić.

W tej chęci naradzaliśmy się poważnie i ze senatorskiem zastanowieniem, któregooby nam nawet izby francuskie pozazdrościły. W debatach o najlepszym sposobie wytepienia biedy były podzielone głosy.

Jak zwykle Polonia, nie mogliśmy się na jedno zgodzić. Jedni chcieli; biedę napędzić bez wszelkiej parady, to jest: po cieleh pojedynczą składką. Druzdy, którym było trochę żal biednej biedy, chcieli ja wyprowadzić za miasto z muzyką, to jest koncertem. Lecz i pierwsi i druzdy zostali przegłosowani; uradzono bowiem ogromną większością wyprowadzić biedę ze wszelkimi oznakami honoru i czci tak wysokiego gościowi. Stało się więc conclusum: wypędzić biedę, balem i fantową loteryą!. Ponieważ jednak powyższa dyskusya trochę za nadto się przeciągnęła, przyszło zatem że bieda po skończeniu swego zimowego saisonu z wiosną sama sobie odeszła, niemogąc się doczekać wyjścia z paradą i fanfaronadą.

Do zdecydowania: ażeby pozbyć się biedy balem i loteryą fantową, przyczyniła się zapewne niemało nasza złoczowska oświata, (bo musisz wiedzieć redaktorze żeśmy grubo cywilizowani,—) czyli francuzczyzna! Już widzę że mi znowu niewierzysz, u nas i francuzczyzna! a ja ci mówię pod słowem *honoru* słyszysz *honoru* (?) że u nas panuje francuzczyzna na wielką skalę, zaczawszy od żydówek, a skończywszy na pokojówkach; francuzczyzna więc podała nam tę zbawienną myśl, bośmy przypomnieli sobie rycinę francuską w której dwie filantropki, ze smutnemi twarzami, lecz w balowym stroju, na ulicy się spotkały, i jedna pyta: *Ou allez vous Madame?* Ze łzami miłosierdzia odpowie ta: *Un peu danser pour les pauvres.* Widzisz więc redaktorze że nie w las poszła u nas nauka francuska!

To szczęśliwe zdarzenie miało 10. b. m. nastąpić. Jednem radośnem drzeniem zapukały wszystkie szlachetne serca: kawalerskie i niekawalerskie, dziewicze i niedziewicze, (ojcowskie tylko, przy ciężkich czasach trochę się pokurczyły,) gdy o to niespodzianie, na nas nieprzygotowanych do takich ciosów, spada ciężarem kamienia następujące! **Uwiedomienie** :

Ponieważ nie nadeszło jeszcze pozwolenie Wys. Ces. Rządu krajo: na odbyć się mający **Bal i Loterya Fantowa**, przeto zawiadamia się **Państwo publiczność**, że dopiero po odebraniu tegoż pozwolenia, termin odbyć się mającego **Balu i Loteryi** przez plakaty zapowiedziany będzie 8. Czerwca 1854.

Jeżeli tego ciekawego uwiedomienia może ze wszystkim od razu nie zrozumisz to się tem wcale nie zrażaj, przeczytaj raz i drugi, a gdyby i to jeszcze nie pomogło, zapytaj się którego kolegę swego, jakiego szanownego filologa: co to znaczy: „**Państwo Publiczność**“ ja bowiem, jako ruralis nie mogę ci objaśnić z jakiego to języka pożyczony?. Domyślam się tylko że nakształt innych temi latty wynalezionych języków, i powyższy wyraz do najswieższego wynalazku należy, któryto jednak, jako miłujący swe gniazdo z całą żarliwością czystego patrioty, dla naszej złoczowskiej ziemi windykuje!

Smutna treść owego plakatu, nakazująca cierpliwość: nogom, gardłu, brzuchowi i kieszeni, wyrwarła i na mój umysł zaraźliwy wpływ i dlatego kończę z prawdziwą rezygnacyą! Ach kiedyżto pozwolą nam trochę poskakać za biednych?!

**P. S.** Napisz mi redaktorze: czy umiesz tańczyć, ale nota bene! „**Polkę**“ (z Mazurem albo krakowiakiem ani się wrywaj) to poszle ci bilet bo musicie wiedzieć, żeśmy popularni, i *nawet* literatów przypuszczamy na bale.

\* Wszechwładny w Polsce i Saxonii, za panowania króla Augusta III, pierwszy minister hrabia Brühl, występuje jako jedna z głównych osób w nowym historycznym trzeczdomowym romansie pani L. Mühlbach, pod tytułem: „**Fryderyk Wielki i rodzeństwo**“ (Friedrich der Grosse und seine Geschwister) Berlin, 1855. W rozdziale „**Uczta u hrabiego Brühla**“ znajdujemy szczegółowy opis przepychu i bogactw tego ulubieńca fortuny. W rocznicę urodzin żony swojej, wyprawiał on wspaniałą biesiadę w Dreźnie, którą zaszczycił swoją bynością król i dumna jego małżonka, Marya Józefina, córka cesarza

Józefa I. Wielki to był zaszczyt, bo nikt z poddanych nie był przypuszczany do stołu, przy którym zasiadała królewska para, a dzisiaj obok niej i królewicza Ksawerego, zasiąść mieli Brühl z piękną żoną swoją. Pierwszy minister, łącząc z tym urzędem obowiązki wielkiego mistrza obrzędów, wielkiego marszałka dworu i wielkiego szambelana, umiał zagrozić przystęp do swego monarchy każdemu, kogo miał w podejrzeniu lub tylko w porozumieniu, że jest jego nieprzyjacielem. Trwożył się bowiem aby kto nie otworzył oczu królowi na jego samowładne rządy, zdzierstwa i smutne położenie kraju; a za drożni głosili, że Brühl na utrzymanie domu swego wydawał rocznie przeszło milion talarów, że pięć milionów złożył w bankach Roterdańskim, Weneckim i Marsylskim, że zakupił dóbr ziemskich przynajmniej za siedm milionów talarów; że syn jego Henryk trwonił ogromne summy w Londynie. Lękał się Brühl żeby wieści tego rodzaju nie doszły królewskich uszu. Tkwiła mu w pamięci historia hrabiego Lerma, pierwszego ministra Filipa IV, króla Hiszpańskiego. Upadku jego stała się powodem mała kartka, którą ten król znalazł pod serwetą na talerzu. Napisany był na niej tylko krótki adres: «Do Filipa IVgo niegdyś króla Hiszpanii i obojga Indyów, dzisiaj zostającego w służbie hrabiego Lerma.» Ta kartka jak sztyłem przeszła monarchę, i hrabia wypadł z łaski. Raz też samego Brühla spotkało coś podobnego. Kiedy łaskę królewską podzielał on jeszcze z Sułkowskim i Henricke, dostał się Augustowi III, przy kartach, pieniądzu, wyobrażający koronę Polską, spoczywającą na ramionach trzech ludzi, z napisem: „Jest to trzech nas, dwóch paziów i jeden lokaj.“ Satyryczna moneta takim gniewem zapaliła króla Polskiego, jak kartka satyryczna Hiszpańskiego. Ale Brühl zręcznie umiał skierować ten gniew; tylko hrabia Sułkowski, były paź i hrabia Henricke, były lokaj, usunięci zostali ze dworu, a były paź, hrabia Brühl został nieograniczonym panem Saxonii i Polski. Przez ostrożność wszakże, sam podawał serwety królewskiej parze, i najściślej przestrzegał etykiety, którą lubiła królowa, a dwaj wybrani przez niego szambelani zawsze poprzedzali koronowanych małżonków, wchodzących ze swych pokojów, aby nikogo nie dopuszczać do nich. Przed ucztą wyprawianą w ogrodzie, Brühl odebrał list posła saskiego w Berlinie, Flemminga, z doniesieniem, że król Pruski Fryderyk Wielki opuścił Berlin, ze sztabem swoim i jak wieść niesie, zamierza przyspieszonym marszem wkroczyć do Saxonii. Z uśmiechem niewiary przeczytał tę wiadomość pierwszy minister; zachmurzyło się jednak czoło jego, gdy przebiegł załączoną do listu francuską odę Fryderyka Wielkiego, pisaną au comte de Brühl. Był to wiersz satyryczny (znajduje się w tomie X dzieł Fryderyka, str. 45); zjadliwa jego ironja mocno dotknęła ulubieńca. Zbliżała się chwila jego cierpień i nieszczęść Saxonii, które w części odbiły się i o Polskę. Zaczynała się bowiem wojna siedmioletnia.—Ożywione opowiadanie pani Mühlbach, odznacza się wiernością obrazów historycznych i z tego powodu obojętnem być dla nas nie może.

**Przyjechali** od dnia 14 do 16. czerwca do Lwowa:

PP. Czajkowski Mikołaj, z Dussanowa. Wolski Ignacy, z Mikułowiec. Smolski Apolinary, z Czerniowic. Jałowicki Wenant, ze Sambora. Puzyna Romuald, ze Stryja. Grocholski Juliusz, z Buławy.

PP. Starzyński Michał, hr. z Przemyśla. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Czerminski Juliusz, ze Sambora. Bogdanowicz Marceli, z Laszek murowanych. Sokołowski Juliusz, z Baranczyc. Jaworski Józef, z Kobylnicy. Fedorowicz Jan, z Tarnopola. Czerminski Stanisław, z Brzeżan.

P. Bogusz Adam, z Tysowic.

**Wyjechali** od dnia 14 do 16. czerwca ze Lwowa:

PP. Zalewski Krzysztof, do Stanisławowa. Gostyński Franciszek, do Niemirowa.

PP. Szczepański Józef, do Lubienia. Łodomirski Brutus, do Wierzchni. Jabłonowski Franciszek, do Wierzchni. Małachowski Felx, do Porub.

P. Zahajkiewicz Józef, do Stryja.

**Lwów 16. czerwca.**— Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 27 złr. 30 kr. do 31 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 14 złr. — kr. do 16 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do 22 złr. — kr. — Ziemiaków po 11 złr. 15 kr. do 12 złr. 15 Sąg drzewa bukowego 25 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 19 złr. 45 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. — kr. do złr. 2 kr. 15. Centnar słomy 1 złr. 20 kr. do 1 złr. 45. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 44 kr. m. k.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski . . . . .	złr. 6 kr. 10	złr. 6 kr. 12.	
Dukat cesarski . . . . .	" 6 " 14	" 6 " 16.	
Półimperyal złr. rosyjski . . . . .	" 10 " 45	" 10 " 50.	
Rubel srebrny rosyjski . . . . .	" 2 " 4	" 2 " 4.	
Talar pruski . . . . .	" 2 " —	" 2 " —	
Polski kurant i pięciozłotówka . . . . .	" 1 " 30	" 1 " 31.	
Galijskie listy zastawne za 100 złr. . . . .	" 92 " 15	" 92 " 30.	

**Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.**

Amszterdam . . . . .	109½.	Marsylia . . . . .	—
Augsburg za 100 złr. . . . .	130°.	Medyolan za 300 lirów	129.
Bukareszt . . . . .	—	Paryż za 300 franków	154.
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces. . . . .	
24½ stopy . . . . .	130½.	Srebra agio . . . . .	30.
Genua . . . . .	—	Pożyczka 5% 85½, 4½ 76.	
Hamburg za 100 tal. banco. 96.		Pożyczka lit. B. . . . .	—
Konstantynopol . . . . .	—	Akcyje banku . . . . .	1282.
Liworno . . . . .	126½.	Kolej północna . . . . .	—
Londyn za 1 funtszterl. 12. 43.		Obl. ind. . . . .	5%. —

**TEATR POLSKI:** Jutro: **Wieża piekielna.** Dramat Dumas'a.

**Od wydawcy.** Z końcem tego miesiąca kończy się drugi kwartał: „Nowin“. Zapowiedziana już dawniej powieść p. Kaczkowskiego: „Dziwożona“ dopiero teraz umieścić będziemy mogli. Poczem nastąpi powieść Kraszewskiego: „Abrakadabra.“ Spodziewając się, iż moje usiłowania pozyskania dla „Nowin“ piór znakomitszych naszych pisarzy, i na dal znajdą toż samo co dotąd u czytającej publiczności uznanie, wzywam do dalszej prenumeraty. W zapowiedzeniu pierwszym przyrzekłem w Nowinach kilkanaście tomów rocznie oryginalnych umieścić powieści. Przyrzeczenia tego dopełniłem, dostarczywszy dotąd sześć sporych tomów samych powieści, które osobno odbite, w handlu księgarskim do 10 Złr. kosztować będą.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest list zwrotny do prenumeraty. Prenumerujący na całe następne półrocze, oszczędzający więc nie tylko sobie kosztów podwójnej przesyłki lecz i wydawcy nakładu na dwukrotny, przy każdym kwartale druk adresów pocztowych, otrzymają jako premią, litografowany portret Kraszewskiego.